

Tomasz Przybysz

Opowieść o współczesnym Hiobie

18 września 1973 roku miał być jeszcze jednym zwykłym dniem. Jednakże od samego rana straszliwie rozpadał się deszcz, jakby niebo chciało zaznaczyć, że wydarzy się coś niezwykłego. Wieczorem nadeszła burza. Deszcz cały czas lał jak z cebra, błyskawice co chwilę rozświetlały niebo. I w tę straszną pogodę na świat w śremskim szpitalu przyszedł Tomek. Nikt nie podejrzewał nawet, że ta pogoda jest „niebiańskim ostrzeżeniem” przed nieszczęściem, jakie wkrótce nastanie...

Jego dzieciństwo przebiegało szczęśliwie. Był on normalnym, słodkim, nieco rozbrykanym, o wiecznie śmiejących się oczach malcem, i nikt nie przeczuwał co się niebawem zdarzy.

Takim przedsmakiem nadchodzących wydarzeń była przygoda, jaką Tomek przeżył mając pięć lat. Było to zimą (owa słynna „zima stulecia” 1979 roku, podczas której Polska była zasypana niewiarygodnymi masami białego puchu). Tomek z rodzicami wracał do domu, gdyż byli wtedy samochodem w odwiedzinach u znajomych. Kilkaset metrów od domu utknęli w korku, jaki się utworzył, gdy autobus przed nimi utknął w ogromnej zaspie. Tata Tomka został w samochodzie, natomiast pani Aleksandra wraz z synkiem przedzierała się przez zasy do domu. Tomek został w domu, zaś jego mama pośpieszyła z łopatą pomóc mężowi odkopać samochód. Naraz nie wiadomo dlaczego, Tomek ruszył w ślad za mamą. Przy domu śnieg sięgał mu tylko do kolan, lecz z każdym krokiem dalej zasy stawały się coraz większe, by po około stu metrach osiągnąć ponad metr wysokości. Mimo to Tomek nadal brnął dzielnie w śniegu, maszerując do rodziców. Gdy samochody zostały odkopane i można było ruszyć w dalszą drogę, pani Aleksandra właściwie tylko przez przypadek ujrzała syna wędrującego w śniegu sięgającym mu prawie po szyję. Zmarzniętego malca przywieźli do domu, jednak do dzisiaj Tomek nie wie, co mu kazało iść do rodziców. Działał jak pod wpływem hipnozy, ale widocznie ktoś w niebie czuwał nad nim, nie dając mu zginąć w śniegu.

Mimo wszystko los nie był mu zbyt łaskawy i tragedia nadeszła wtedy, gdy nikt się jej nie spodziewał. Była Wigilia 1979 roku, gdy Tomek zaczął się mamie skarżyć na bóle w ramionach. Pani Aleksandra zauważyła również postępującą opuchliznę szyi. Wezwana karetka zawiozła ich do Poznania do szpitala dziecięcego. Po badaniu lekarz powiedział do pani Aleksandry:

– Niestety, nie potrafimy powiedzieć co dolega Pani synowi, ponieważ jeszcze nigdy nie zetknęliśmy się z takimi objawami chorobowymi. Będziemy musieli zatrzymać go na obserwacji.

Te słowa zabrzmiały jak wyrok. Mama Tomka nawet nie przypuszczała, że jej syn rodzinny dom zobaczy dopiero po dwóch latach.

Pierwsze dni w szpitalu były dla Tomka koszmarnie – niezliczone ilości tabletek i zastrzyków, brak rodziny oraz stres związany z przebywaniem w szpitalu sprawiały, że niejednokrotnie w nocy jego poduszka była mokra od łez. Lecz mimo tych wszystkich lekarstw i testów przeprowadzanych na jego osobie, choroba postępowała nadal. Lekarze mówili o niej „wapniejące zapalenie mięśni i stawów” i orzekli, że zła przemiana wapna w organizmie powoduje, że osadzało się ono w stawach i mięśniach Tomka i powoli go paraliżowało. Nie potrafili jednak powiedzieć jaka jest przyczyna tej choroby, stwierdzili tylko, że jest ona nieuleczalna. Mimo to nadal traktowali Tomka jak świnkę doświadczalną i faszrowali go dziesiątkami lekarstw.

A Tomek stawał się powoli obojętny na wszystko. Otumaniany garściami tabletek, które codziennie dostawał, przenoszony z jednego szpitala do drugiego (gdy tylko lekarze stwierdzili, że nie są w stanie mu pomóc, przenosili go do kolejnego szpitala) z utęsknieniem czekał końca tej gehenny i powrotu do domu. Jedynym jego pocieszeniem oprócz wizyt mamy była ciocia Anna pracująca w jednym ze szpitali, do którego został właśnie przeniesiony. To ona codziennie przychodziła do niego i widok kogoś bliskiego był dla Tomka prawdziwym ukojeniem.

Pewnego dnia pani Aleksandra zauważyła, że Tomek stał się jakiś inny niż zazwyczaj. Lekarz stwierdził, że to z powodu antybiotyków jego ciało zaczęło „puchnąć”.

– Panie doktorze – pani Aleksandra zwróciła się do lekarza – może Pan mi powiedzieć jakie są rezultaty leczenia?

– Na razie nie ma żadnej poprawy, ale musimy być cierpliwi – odparł lekarz.

– Ale przez dwa lata nic nie zrobiliście konkretnego, a mój syn wygląda coraz gorzej! Chcecie doprowadzić do jego śmierci!?

Lekarz milczał nie wiedząc co odpowiedzieć. Pani Aleksandra widząc, że niczego się więcej nie dowie, zażądała widzenia z ordynatorem. On również zaczął mówić o tym, że jeszcze niewiele wiedzą o tej dziwnej chorobie, że trzeba czasu, aby rezultaty leczenia były widoczne, lecz pani Aleksandra przerwała mu gwałtownie:

- Przecież widzę w jakim stanie przywiozłam do Was syna, a w jakim stanie jest teraz! Nie pozwolę aby dłużej się tu męczył! Proszę go wypisać ze szpitala, zabieram go do domu!
- Jeśli chce Pani zabrać syna ze szpitala, to proszę podpisać ten dokument, że robi to Pani na własną odpowiedzialność. Ale bez opieki lekarskiej Pani syn nie przeżyje dłużej jak pół roku.
- Mimo wszystko nie zostanie tu dłużej, abyście mogli nadal traktować go jak królika doświadczalnego! Jeśli ma umierać, to w domu pod opieką rodziny!

I tak oto w połowie 1981 roku, po dwóch latach spędzonych na tułaczce po szpitalach Tomek powrócił do domu. Przez te dwa lata zdążył już zapomnieć, co to jest prawdziwy dom. Pobyt w szpitalach doprowadził jego zdrowie do takiego stanu, że miał już zablokowane obydwie ramiona i nie mógł unieść ich do góry. Jednak wbrew zapowiedziom lekarzy przeżył dłużej niż pół roku. Może to sprawiła zmiana otoczenia, może koniec faszerywania go kilogramami leków, a może miłość rodziny, ale po tych zapowiedzianych ostatnich sześciu miesiącach życia Tomek powoli zaczął odzyskiwać radość i dziecięcą bez troskę. Lecz piętno szpitala sprawiło, że w jego oczach wciąż był widoczny cień smutku i przebytego cierpienia...

Pierwszego dnia szkoły Tomek został wprowadzony do swojej klasy.

- Dzieci – powiedziała nauczycielka, pani Bogumiła – przedstawiam wam Tomka, waszego nowego kolegę. Jest chory, przyszedł do nas prosto ze szpitala, gdzie przebywał bardzo długo. Mam nadzieję, że zaprzyjaźnicie się z nim.

Z początku obawiał się, że z powodu jego choroby dzieci go nie zaakceptują, jednak przekonał się później, że traktują go zupełnie normalnie. Zbyszek, Maciek, jego imiennik Tomek, oraz pozostałe dzieci nie zauważały jego choroby i właściwie nigdy nie spotykały go żadne przykrości z ich strony. Oczywiście Tomek musiał uważać podczas zabawy aby się nie przewrócić (ponieważ z powodu usztywnionych ramion nie mógł zamortyzować upadku), lecz jego koledzy i koleżanki sami też uważali, aby przypadkiem nie potraścić go zbyt mocno.

Nauka przychodziła mu łatwo. Nawet gdy ukończył trzyklasową szkołę w swojej miejscowości i zaczął uczęszczać do szkoły w sąsiedniej wsi (w której uczył się aż do końca szkoły podstawowej), to nie miał zbyt trudności z przyswojeniem nowego (a co za tym idzie, o wiele trudniejszego) materiału. Ponieważ jednak w tej drugiej szkole było kilkaset dzieci, nauczyciele obawiali się, że nie będą one uważać na Tomka i mogłoby mu się coś stać. Dlatego też od czwartej klasy Tomek miał nauczanie indywidualne w domu. Trzy razy w tygodniu przyjeżdżali do niego nauczyciele na lekcje. Do swojej szkoły Tomek przyjeżdżał tylko na rozpoczęcie roku szkolnego oraz po odbiór świadectwa. I chociaż nieraz tęsknił za swoimi rówieśnikami, to rozumiał, że z powodu swojej choroby nie może chodzić normalnie z innymi dziećmi do szkoły.

Prawdopodobnie ta izolacja od rówieśników sprawiła, że niejednokrotnie Tomek czuł się kimś gorszym od innych. Ten brak kontaktu z innymi dziećmi powodował, że Tomek z początku nieśmiało zaczął unikać innych osób. Nie spotykało go zresztą od nich nic dobrego. Wyzwiska, śmiech, szyderstwa – tylko dzieci mogą być tak okrutne wobec kogoś, kto się w jakimś stopniu różni od nich.

I tak było przez cały czas. Jego rówieśnicy dorastali, chodzili na dyskoteki, zabawy, umawiali się z dziewczynami, a Tomek żył niejako „na uboczu”. Będąc „samotnikiem z wyboru” wołał z ukochanym pieskiem spacerować po lesie niż przesiadywać w hałaśliwych dyskotekach lub zadymionych kawiarniach czy restauracjach.

Natomiast jego tajemnicza choroba (lekarze nadal nie wiedzieli o niej zbyt wiele) chwilowo się zatrzymała. Tak jak przyszedł ze szpitala w wieku ośmiu lat z usztywnionymi ramionami, tak przez następne kilka lat nic w jego organizmie nie zmieniło się na gorsze. Miał czasem bóle mięśni, ale generalnie zdrowie jego pozostawało bez zmian. Lecz gdy był już nastolatkiem, to jego choroba coraz bardziej zaczęła się nasilać.

Skończywszy dwanaście lat Tomek miał pierwszy gwałtowny atak choroby. Kładąc się pewnego wieczoru spać nie przypuszczał, że kolejny dzień zamieni się dla niego w koszmar.

Rano obudził się jak zwykle. Dopiero przy śniadaniu spostrzegł, że poruszanie ustami sprawia mu okropny ból. Jego choroba w ciągu zaledwie dwunastu godzin błyskawicznie zaatakowała żuchwę i usztywniła ją na dobre. Tomek mógł otworzyć usta maksymalnie na pół centymetra, lecz ruszanie szczęką przesyłało go falami niewyobrażalnego cierpienia. Cieniutki, nieomal przezroczysty plasterek żółtego sera jadł w wielkiej mące ponad godzinę, a ból wyciskał mu łzy z oczu. Oprócz płynów był to

jego jedyny posiłek tego dnia. Dopiero porcja silnych tabletek przeciwbólowych uśmierzyła jego bóle. Jednak nie będąc w stanie otworzyć szeroko ust, każdy posiłek musiał już mieć rozdrobniony.

Rodzina Tomka próbowała oczywiście walczyć z jego chorobą, ale czy można wygrać walkę z wrogiem, o którym nic nie wiadomo? Różni ziołarze, kręgarze i bioenergoterapeuci próbowali zwalczyć jego chorobę, jednakże bezskutecznie. Nawet ów sławny „cudotwórca” Harris nie był w stanie poprawić stanu jego zdrowia.

Od znajomych usłyszał Tomek o pewnym „cudownym” lekarzu z Leszna. Człowiek ten mając w sobie potężne bioprądy uleczył swego syna, który poruszał się na wózku inwalidzkim. Natchniony nadzieją w uzdrowienie Tomek pojechał do niego z mamą. Ów bioenergoterapeuta „przebadał” Tomka swoimi bioprądami i powiedział do jego mamy:

- Niestety, choroba jest zbyt zaawansowana, abym mógł pomóc Pani synowi. Mogę jedynie zatrzymać jej postęp, choć będziemy próbowali z nią walczyć. Szkoda, że Tomek prędzej nie trafił w moje ręce, gdyż być może byłby teraz zdrowy.

Gdy pani Aleksandra chciała mu zapłacić za wizytę, powiedział:

- Proszę zatrzymać pieniądze, jeśli pomogę Pani synowi, to zaprosi mnie Pani na dobry koniak.

Przez trzy lata co miesiąc Tomek jeździł do Leszna. I faktycznie – jego choroba zatrzymała się na jakiś czas. Lecz ze względów finansowych (te wyprawy do Leszna były dość kosztowne, a rezultaty leczenia znikome) mama Tomka uznała, że nie ma sensu jeździć na dalsze zabiegi. Nie znaczy to jednak, że zrezygnowała z walki. Próbowała nadal, wciąż jeździła po różnych lekarzach, ale robiła to już raczej z nawyku, niż z przekonania...

Po ukończeniu szkoły podstawowej Tomek nie wiedział co ze sobą począć. Chciał uczyć się dalej, ale z powodu jego choroby nie wchodziło w grę wysłanie go do szkoły z internatem. Udało mu się podjąć naukę w liceum wieczorowym w Poznaniu, gdzie jeździł dwa razy w miesiącu, w sobotę i w niedzielę. Lecz jakże była to odmienna nauka od tej, którą miał w domu. Nauczyciele wiecznie byli zaganiani, lekcje przerabiane były w pośpiechu, wykłady były dyktowane w tak szalonym tempie, że na początku Tomek nadążał zapisywać tylko jedną trzecią dyktowanego materiału. A na dodatek co semestr ponad połowa klasy zmieniała się. Ledwie się klasa zżyła ze sobą, zawiązały się nowe znajomości i przyjaźnie, a tu egzaminy semestralne „odfiltrowały” tych najsłabszych i trzeba było już ich pożegnać. Na ich miejsce przychodzili nowi i przez kolejny semestr było tak samo. Na domiar złego poziom nauki był tak wysoki, że Tomek z trudem mógł nadążyć ze zrozumieniem materiału (ponieważ musiał się uczyć sam i nikt mu nie wytłumaczył tego, czego nie mógł zrozumieć). W 1992 roku, w połowie drugiej klasy, egzamin semestralny „odfiltrował” również i jego.

Akurat trafiła się wtedy Tomkowi okazja, aby jechać na kolonie. Chociaż przeżył już osiemnaście lat swego smutnego życia, był to jego pierwszy wyjazd na kolonie. Przez dwa tygodnie jego domem miał być ośrodek wczasowo-wypoczynkowy we Wągrowcu, a jego „rodziną” Sportowe Stowarzyszenie Inwalidów „Start” z Poznania. Trochę był przestraszony (w końcu jeszcze nie zdarzyło mu się przebywać samemu poza domem), ale jechał z zaciekawieniem i radością.

Na miejscu czekała go niespodzianka: Okazało się, że prezes „Startu” mieszkał niegdyś w sąsiednim miasteczku i byli niejako „sąsiadami przez miedzę”. Stosunki na kolonii panowały wspaniałe. Nie czuło się takiej atmosfery typowo kolonijnej, wszyscy traktowani byli bardziej jako członkowie rodziny niż koloniści. Dzieci zachowywały się uprzejmie wobec innych, pomagały sobie nawzajem, opiekunowie również stwarzali tę rodzinną atmosferę (w końcu przez dwa tygodnie musieli wszystkim dzieciom zastąpić rodziców), a na dodatek razem z polskimi była jeszcze pięćdziesięcioosobowa grupa osób niepełnosprawnych ze Szwecji. Ponieważ nie znali oni języka polskiego, więc co niektórzy z polskiej grupy mieli okazję wypróbować znajomość języka angielskiego.

Chociaż Tomek dostał się do grupy najmłodszych dzieci (6–10-letnie), to jednak bawił się świetnie. Jego opiekunka, pani Nina, potrafiła tak doskonale zorganizować czas swoim podopiecznym, że różnica wieku całkowicie się zacierała. Wspólne kąpiele w jeziorze, gry i zabawy na świeżym powietrzu (gdyż pogoda była cały czas znakomita), radość panująca wszędzie – to wszystko sprawiało, że Tomek wszystkimi zmysłami chłonał to, co mu zabrała izolacja od rówieśników podczas indywidualnego nauczania w domu. Czas na koloniach był tak doskonale wykorzystany, że nie było w ogóle czasu na nudę. Dla Tomka dużym przeżyciem była wycieczka kolejką wąskotorową do Biskupina, rejs statkiem po jeziorze (kapitan pozwolił Tomkowi samodzielnie sterować), spotkanie z iluzjonistą, panem Maciejem, lecz najbardziej

przeżył spotkanie z dziennikarką z pewnego ogólnopolskiego miesięcznika. Pani ta zrobiła z nim wywiad (uznała go za bardzo ciekawy materiał na reportaż) i obiecała, że za kilka miesięcy opublikuje ten wywiad w swojej gazecie.

Zaskoczeniem dla Tomka był również fakt, że otrzymał funkcję... kolonijnego dzwonnika. I choć musiał wstawać wcześniej od innych (aby dźwiękiem dzwonu zbudzić całą kolonię), to robił to z przyjemnością. Również obwieszanie pory posiłków dawało mu wiele zabawy i napawało go dumą.

Powrót do domu Tomek przyjął z żalem. Było mu tak dobrze na kolonii, iż ze smutkiem wracał do szarej rzeczywistości. Lecz obiecał prezesowi, że wpadnie do „Startu” z wizytą. Gdy po kilkunastu dniach zrealizował swoją obietnicę, przeżył prawdziwe zaskoczenie – wszyscy witali go jak dawno nie widzianego członka rodziny. Odtąd Tomek był częstym gościem w „Starcie”. Traktowany bardzo ciepło polubił te wizyty.

Pewnego razu prezes „Startu” zapytał Tomka o szkołę, a gdy usłyszał, że Tomka wykształcenie zakończyło się na trzecim semestrze liceum wieczorowego zaproponował mu wyjazd do Liceum Ekonomicznego w Centrum Kształcenia i Rehabilitacji Inwalidów w Konstancinie-Jeziornej pod Warszawą. Po ukończeniu tego liceum Tomek miałby pracować w „Starcie” w księgowości. Z powodu drobnych nieporozumień z przyjęciem do szkoły, naukę w Konstancinie podjął dopiero w grudniu 1992 roku.

Pierwszy raz Tomek miał wtedy mieszkać w szkole z internatem, na dodatek kilkaset kilometrów od rodzinnej miejscowości. Do szkoły rodzice zawieźli go pociągiem. Na Dworcu Centralnym Tomek zobaczył coś, co go bardzo zaskoczyło – ruchome schody. Jeszcze nigdy nie zetknął się z takim urządzeniem. I tu popełnił drobny błąd, gdyż wchodząc na schody nie postawił nóg równo, tylko jedną stopę postawił na jednym stopniu, a drugą na innym. Schody podjeżdżając w górę zrobiły się nagle bardzo strome i Tomek stracił równowagę. Nie mając się czego złapać (ponieważ poręcz również była ruchoma) upadł na plecy. Na szczęście mama Tomka natychmiast zatrzymała schody, pomogła mu wstać i podtrzymując go wjechała z nim do góry.

Najbardziej wtedy zaboląła Tomka znieczulica innych ludzi. Zamiast mu pomóc, stanęli dookoła niego i tylko się na niego gapili, jak na dziwaka. Jedyne pewien pan okazał trochę serca i razem z panią Aleksandrą podtrzymał Tomka podczas jazdy schodami na górę.

Warszawa okazała się dla niego okropnym miastem. Ten wszechobecny tłok, mnóstwo ludzi na ulicy, jeszcze więcej samochodów, straszny hałas – to wszystko sprawiało, że Tomek nie przyzwyczajony do takiego ogromnego miasta czuł się w nim zagubiony. Dopiero gdy autobusem przyjechali do Konstancina, to jego samopoczucie uległo lekkiej poprawie.

Szkoła była bardzo duża. Olbrzymi budynek z mnóstwem pomieszczeń – sal lekcyjnych, pokoiów mieszkalnych, pomieszczeń biurowych – sprawiał wrażenie giganta, w którym można było się bardzo łatwo zgubić. Przez pierwsze dni nauki Tomek wszędzie musiał pytać o drogę, lecz później poznał internat znakomicie i mnogość sal nie przeszkadzała mu w niczym.

Początki w nowej szkole były nijakie. Tomek był trochę onieśmielony nowością sytuacji i faktem, że jest tak daleko od domu, ale klasa szybko go zaakceptowała. Z Grzegorzem i Piotrem stworzyli wspólną paczkę przyjaciół, mieli różne, czasem bardzo dziwne pomysły (ich wychowawczyni nieraz natarła im uszu za robienie psikusów), ale w gruncie rzeczy Tomek czuł się tam dobrze. Miał tylko sporo zaległości w nauce z powodu opóźnienia swego przyjazdu do Konstancina.

Na Święta Tomek był umówiony z rodzicami w szkole. Mieli po niego przyjechać i wspólnie wrócić do domu. Jednakże namówiony przez Grzegorza nie czekał na rodziców, tylko pojechał z nim do Warszawy na Dworzec Centralny. Tam się rozstali, gdyż Grzegorz jechał nad morze, natomiast Tomek wracał do Wielkopolski. Obładowany był niemożliwie, ponieważ oprócz podręcznej aktówki z drobiazgami miał jeszcze dużą torbę z rzeczami i książkami. Przy wejściu do pociągu ludzie niesamowicie się tłoczyli, ale widząc osobę niepełnosprawną zrobili mu miejsce i Tomek mógł (choć nie bez trudu) wejść do pociągu.

Podróż upłynęła mu spokojnie. Na początku stał na korytarzu ze swoim bagażem, ale w miarę upływu kilometrów w pociągu robiło się coraz luźniej. Po godzinie jazdy Tomek znalazł już wolne miejsce w przedziale i nareszcie mógł usiąść i dać nogom odpocząć.

W Poznaniu pomogła mu wysiąść z pociągu prześliczna Rosjanka. Do dworca autobusowego dotarł na ostatnich nogach i ledwie znalazł siły, aby wejść do autobusu. Czekало go 45 minut jazdy do domu i po godz. 21 dotarł na miejsce. Okazało się, że... rodziców nie ma, gdyż pojechali po niego do Konstancina.

Pół godziny później przyjechali do domu (wrócili następnym pociągiem) i Tomek dostał porządną burę, że nie czekał na nich w szkole.

Po Świątach powrócił do szkoły, ale mając coraz większe zaległości w nauce (mimo, iż starał się jak mógł, to nie był w stanie opanować zaległego materiału i jeszcze uczyć się na bieżąco) oraz zauważywszy stopniowe pogarszanie się stanu zdrowia Tomek zmuszony został do przerwania nauki i powrotu do domu...

Zdrowie pogarszało mu się w bardzo szybkim tempie. Choroba zaatakowała jego nogi, kilkakrotnie zdarzało się, że Tomek nie mogąc utrzymać równowagi przewracał się. A każdy z tych upadków przyspieszał rozwój choroby i sprawiał, że Tomek coraz bardziej tracił władzę w nogach (o dziwo, ręce nadal miał sprawne na tym samym poziomie, co po wyjściu ze szpitala).

Będąc w październiku 1993 roku w gminnej bibliotece stracił nagle przytomność i upadłszy na podłogę doznał poważnych obrażeń głowy. Jego mama wraz z paniami bibliotekarkami nie mogły go docucić, dopiero masaż serca sprawił, że Tomek odzyskał świadomość. Jednakże obrażenia głowy, jakie doznał przy upadku, były tak duże, że karetka pogotowia wezwana przez panią Aleksandrę zabrała go do szpitala na obserwację. Przebywał w szpitalu przez tydzień z podejrzeniem lekkiego wstrząsu mózgu, lecz w końcu rany się zagoiły i Tomek mógł powrócić do domu.

W Sylwestra 1993 roku Tomek nie mógł już zejść bez pomocy ze schodów (ten wypadek w bibliotece okazał się dla niego „zabójczy” i bardzo przyspieszył postępujący paraliż jego nóg), a gdy rano 3 stycznia 1994 roku obudził się, stwierdził, że nie może wstać z łóżka o własnych siłach. I tak oto został skazany na długie tygodnie samotności w domu. Nikt z rówieśników go nie odwiedzał, zapomnieli o nim wszyscy, a ponieważ nie mógł przejść o własnych siłach więcej niż kilka kroków – pozostało mu tylko siedzenie w pokoju, oglądanie telewizji, czytanie książek (które zawsze uwielbiał) oraz zabawa „miniaturką komputera” – jego ulubionym Commodore C64. Pierwsi goście z wizytą pojawili się dopiero po około czterech miesiącach. Były to jego koleżanki z sąsiedztwa. Posiedziały chwilę, jednak nie czując się zbyt dobrze w jego towarzystwie (nie wiedząc o czym z nim rozmawiać) wkrótce poszły.

Pani Aleksandra oczywiście starała się o wózek inwalidzki dla syna, lecz trwało to bardzo długo. Ta wszechobecna biurokracja (która bardziej utrudniała życie osobom niepełnosprawnym, niż im pomagała), oczekiwanie na sprowadzenie wózka z Warszawy, niepewność, czy wózek będzie odpowiedni – to wszystko sprawiało, że każdy dzień dla „uwięzonego” w domu Tomka zdawał się być wiecznością.

Po pięciu miesiącach spędzonych w pokoju Tomek otrzymał wreszcie swój wymarzony pojazd. Gdy po raz pierwszy wyjechał na dwór, słońce niemal go oślepiło, a zapach świeżego, wiejskiego powietrza zaparł mu dech w piersiach. Z początku wprost bał się wyjeżdżać na spacer, ponieważ wszyscy ludzie nieznośnie się na niego gapili. W miejscowości, w której Tomek mieszkał, osoba niepełnosprawna była „nowością”, jej mieszkańcy rzadko się stykali z takim widokiem. Dochodziło nawet do tego, że rolnicy zatrzymywali na drodze swe maszyny rolnicze, aby obejrzeć się za wózkiem Tomka. To go tak bardzo krępowało, że na dwór wyjeżdżał tylko wieczorem. Lecz później ludzie oswoili się z jego widokiem (gdyż Tomek coraz częściej pokazywał się na wsi) i nie wzbudzał już takiej sensacji...

Na początku 1995 roku Tomek poznał pana Franciszka, prezesa poznańskiej Fundacji Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym. Pan Franciszek słysząc o zamiłowaniu Tomka do komputerów zaczął go namawiać do kupna własnego komputera, który mógłby służyć mu do pracy. Niestety, stan finansowy Tomka nie pozwalał mu na kupno wymarzonego „cudu techniki”.

Pan Franciszek zaproponował mu również wyjazd na kolonie w lipcu. Miał to być dwutygodniowy pobyt w Skokach – miejscowości leżącej niedaleko Wągrowca, gdzie Tomek przebywał trzy lata wcześniej. Ponieważ Tomek już od dawna nie był na żadnych wczasach czy koloniach, więc zgodził się bez wahania. Trochę się tylko obawiał jak to będzie, gdyż były to pierwsze kolonie, na które miał jechać na wózku inwalidzkim.

Nie mogąc jechać autokarem z innymi wczasowiczami (z powodu specyficznego ułożenia swojego ciała mógł siedzieć tylko w pozycji półleżącej) Tomek został na miejsce zawieszony samochodem przez rodziców. Ponieważ nie spieszyli się podczas drogi, zatrzymali się nawet na przydrożnym parkingu na obiad, więc do ośrodka przyjechali dosyć późno. Wszyscy byli już na obiedzie, a ponieważ Tomek jadł już wcześniej, miał czas aby rozejrzeć się po jego „nowym domu”. Ośrodek zrobił na nim bardzo pozytywne wrażenie, był dość przestronny, położony w przepięknej okolicy nad jeziorem, a co

najważniejsze – był przystosowany (choć w niezbyt dużym stopniu) do osób poruszających się na wózkach inwalidzkich.

Po obiedzie wszyscy zostali rozlokowani w pokojach. Tomek otrzymał pokój czteroosobowy, który dzielił razem z trzema innymi chłopakami. Na początku panowało w pokoju milczenie, lecz wkrótce „lody zostały przełamane” i chłopcy nawiązali ze sobą kontakt. Po kilkunastu minutach przyszedł jeden z wychowawców i powiedział, że wszyscy koloniści mają się zgromadzić w stołówce na apelu. Tomka zawiózł jeden z jego współlokatorów. Gdy już cała kolonia zebrała się w stołówce, Tomek powiódł po nich wzrokiem i pomyślał:

– Chyba tu będzie całkiem klawo. Towarzystwo „urozmaicone wiekowo”, okolica ładna, na nudę więc nie będziemy narzekać.

Chwilę później wzrok jego padł na grupę wychowawczyń. Z grupy tej wyróżniała się pewna dziewczyna o przecudownej urodzie. Tomek jeszcze nigdy nie widział tak niewiarygodnie ślicznej osoby, przez chwilę przeszła mu przez głowę myśl, że oto anioł zstąpił z nieba, aby zaopiekować się śmiertelnikami.

Zaczął się podział wszystkich kolonistów na grupy. Tomek nieustannie myślał o tej ślicznej opiekunce, przez chwilę miał nawet zamiar poprosić ją o to, aby wybrała go do swojej grupy, lecz z powodu swej ogromnej nieśmiałości nie mógł wykrztusić ani słowa. Zaciśnął tylko kciuki i intensywnie prosił Boga o spełnienie jego prośby. I oto stał się cud! Ktoś „na górze” widocznie czuwał nad nim, gdyż prośba Tomka została spełniona i został przydzielony pod opiekuńcze skrzydła swego wymarzonego anioła.

Koledzy zawieźli go z powrotem do pokoju, a po chwili przyszła opiekunka. Z bliska wydawała się Tomkowi jeszcze piękniejsza. Popatrzyła na Tomka swoimi przesłicznymi oczami i powiedziała:

– Mam na imię Agnieszka i przez najbliższe dwa tygodnie będę się Tobą opiekowała.

„Żeby te dwa tygodnie nigdy się nie skończyły” – pomyślał Tomek.

Agnieszka wzięła się do rozpakowywania Tomka rzeczy, a zapytawszy go jak ma się nim opiekować, usłyszała w odpowiedzi:

– Ponieważ jestem prawie całkowicie sparaliżowany, jest bardzo niewiele rzeczy, które potrafię wykonać samodzielnie, więc proszę mnie traktować raczej jak dużą lalkę. – mówiąc te słowa Tomek się uśmiechnął.

Agnieszka odwzajemniła jego uśmiech i rozpakowawszy do reszty jego torbę poszła do swojego pokoju. Tomek został sam na sam z książką, marzeniami i odrobiną radości w sercu...

Pierwsze dni pobytu na kolonii upłynęły Tomkowi jak we śnie. Agnieszka była tak cudowną opiekunką, że po raz pierwszy cierpienie w jego oczach przestało być widoczne, a zaczęło z nich promieniować szczęście. Zadbała o niego tak doskonale, iż Tomkowi wydawało się, że trafił do raju. Codziennie myła mu ząbki (gdyż Tomek nie mógł ich sam umyć), robiła mu ziołowe maseczki, których Tomkowi ciągle było za mało (z powodu ślicznych rączek Agnieszki delikatnie rozprowadzających maseczkę po jego twarzy) – po prostu w opiekę nad nim włożyła całą duszę. Żadne słowa nie opiszą tego szczęścia promieniującego z Tomka. Zawsze gdy Agnieszka przychodziła do niego, z jego twarzy nie schodził uśmiech, wpatrywał się w jej cudowne, zielone oczy i w jego romantycznym serduszkowi powoli rodziło się uczucie, którego Tomek nigdy nie zaznał. Po raz pierwszy w swoim życiu Tomek poczuł delikatny smak miłości.

Jednakże z powodu swojej ogromnej nieśmiałości nigdy nie zdobył się na wyznanie Agnieszce tego, co się dzieje w jego sercu. Pierwszym jego odczuciem była myśl, że nie ma prawa pokochać takiego anioła jak Agnieszka. Ponieważ Tomek najpierw troszczył się o innych, a później dopiero myślał o sobie, więc był przekonany, że Agnieszka nie byłaby z nim szczęśliwa. On, powoli zamieniający się w roślinę (ponieważ jego choroba paraliżowała go coraz bardziej) szary człowieczek miałby unieszczęśliwić taką cudowną istotę jak Agnieszka próbując się z nią związać? Fakt, opiekowała się nim „sercem i duszą” (gdy spalił sobie twarz na słońcu, to przez połowę nocy Agnieszka czuwała przy nim robiąc mu chłodne okłady), lecz czy Tomek mógł wymagać od Agnieszki, aby tak się dla niego poświęcała?

Również milczał dlatego, że między nimi panowała wspaniała atmosfera, której nie chciał popsuć. Agnieszka była o rok młodsza od niego (Tomek miał wtedy 22, a ona 21 lat), lecz nie traktowała go tylko jako swojego podopiecznego, ale raczej jak przyjaciela. Mogli ze sobą rozmawiać godzinami, opowiadali sobie nawzajem o swoich rodzinach i swoim życiu, Tomek zwierzał jej się ze swoich problemów, radości i smutków – po prostu bawili się znakomicie w swoim towarzystwie. I chociaż Agnieszka miała jeszcze

kilkoro dzieci pod swoją opieką, to jednak najwięcej czasu spędzała z Tomkiem (mimo, iż opieka nad nim nie była aż tak absorbująca).

Odkąd choroba posadziła go na wózek, Tomek jeszcze nie miał okazji skorzystać z kąpeli w jeziorze, dopiero na tej kolonii mógł sobie w nim „popływać”. Gdy po raz pierwszy został wprowadzony do wody, to przez moment aż zadygotał z zimna (rozgrzana na słońcu skóra gwałtownie się ochłodziła w wodzie). Wprowadzali go na coraz głębszą wodę, aż nagle jedna z wychowawczyń siedzących na plaży zawołała do niego:

– Tomku, Twój zegarek!

Rzeczywiście, Tomek miał na ręce zegarek, o którym całkiem zapomniał. Lecz po chwili odpowiedział z humorem:

– Podobno jest wodoszczelny, więc mam okazję to sprawdzić.

Gdy woda sięgała mu do pasa, położył się na niej, a Agnieszka holowała go coraz dalej od brzegu. Zatrzymali się, kiedy miał już wody prawie po szyję. Tomek stanął na nogi i...

– Agnieszko, spójrz! Mogę samodzielnie chodzić!

Woda uczyniła jego ciało lekkim, odciążła jego nogi i Tomek z łatwością utrzymując równowagę ruszył „na spacer” pod czujnym okiem Agnieszki. Wychowawcy byli zdumieni, że Tomek chodzi bez żadnej pomocy. Odtąd „spacery” i zabawa w wodzie z Agnieszką stały się jego codzienną rehabilitacją.

Tomek miał czasami naprawdę zaskakujące pomysły. Pewnego dnia gdy wszyscy z jego grupy poszli na ćwiczenia (on z racji stanu swego zdrowia był zwolniony z tych zajęć), przyszła do jego pokoju Agnieszka. Była trochę zmęczona i nie miała zbyt wielkiej ochoty na pogawędkę. Tomek czytał właśnie książkę i zaproponował, że chętnie jej poczyta na głos. Agnieszka się zgodziła. Położyła się na jego łóżku i z uwagą zaczęła słuchać czytanej przez Tomka książki. Po kilkunastu minutach oczy jej się powoli zamknęły, oddech zrobił się cichy i spokojny i Agnieszka zapadła w sen. Mimo to Tomek nadal jej czytał, wiedząc doskonale o tym, że Agnieszka śpi. Nawet gdy chłopaki z jego grupy przyszli z ćwiczeń i z hałasem wpadli do pokoju, to on nie przerwał lektury, tylko pokazał im, że mają być cicho. Po dwóch godzinach Agnieszka obudziła się i podziękowała mu za czytanie. Tomek lekko schrypniętym głosem odpowiedział, że „cała przyjemność po jego stronie”.

Innym razem wpadł mu do głowy szalony pomysł, aby... poprosić Agnieszkę o rękę. Razem z kolegą zerwali kilka różyczek z klombu znajdującego się pod blokiem i przystąpili do działania. Kolega (jego współlokator) zawiózł go pod stołówkę, odszukał Agnieszkę i przyprowadził ją. Tomek trzymając różę w dłoni ujrzał Agnieszkę i z emocji serce podeszło mu do gardła. Po raz pierwszy był taki spięty, że nie umiał wykrztusić ani słowa. Z trudem wypowiedział: „Agnieszko, mogę Cię prosić o rękę?”, a serce ścisnęło mu się z bólu, bo wiedział, że nigdy nie wypowie tych słów naprawdę. Agnieszka również nie wiedziała co powiedzieć (ponieważ cała ta sytuacja bardzo ją zaskoczyła) i dopiero po chwili odpowiedziała: „Tak”. Te słowa sprawiły, że Tomek rozpromienił się jak małe słońce.

Także ucieszyło go zdziwienie innych opiekunek na stołówce, gdy podczas obiadu jego różę stały na stoliku i wszyscy wypytywali Agnieszkę skąd je ma. Natomiast Agnieszka niezmiennie odpowiadała, że otrzymała je od Tomka...

Przyszedł wreszcie czas na ostatnią dyskotekę na tej kolonii. Miała to być dyskoteka połączona z balem przebierańców. Tomek nie miał żadnego pomysłu na kostium, dopiero za namową Agnieszki zdecydował się przebrać za Indianina (ponieważ był wręcz „spalony” przez słońce, więc nie miał zbyt wielu problemów z przebraniem). Agnieszka towarzyszyła mu w przebraniu rusalki i wyglądała w nim prześlicznie. Chociaż wszyscy byli weseli i roześmiani, Tomkowi dokuczała myśl, że oto po raz ostatni tańczy z Agnieszką. Mimo, iż bawił się znakomicie, to jednak w głębi duszy zrobił się smutny.

Po dyskotekę Agnieszka poszła zobaczyć czy dzieci z jej grupy śpią, a Tomek został jeszcze na dworze. Przez chwilę był sam i mógł w ciszy i spokoju przeanalizować swoje dotychczasowe życie. Później przyszła Agnieszka, usiadła przy nim na ławce i snuli swoje plany na przyszłość. Agnieszka miała zamiar studiować w Poznaniu, natomiast Tomek chciał podjąć jakąś pracę, aby nie siedzieć beczynnie w domu. Siedząc przed blokiem spoglądali na gwiazdy, a Tomek cieszył się ostatnimi chwilami, gdy mógł być sam na sam z Agnieszką. Ten czas spędzony wspólnie pod rozgwieżdżonym niebem miał w sobie jakąś magiczną moc i Tomek marzył o tym, aby ta noc nigdy się nie skończyła...

Lecz nic nie trwa wiecznie. Także i ta kolonia musiała się kiedyś skończyć. Przez ostatnią noc Tomek nie mógł spać, leżąc w łóżku rozmyślał ciągle o Agnieszce. Wciąż pragnął opowiedzieć jej o wszystkim, co się dzieje w jego serduszkach, lecz do głosu dochodził wtedy rozum, który mówił mu: „*Nie masz prawa do unieszczęśliwiania innych swoim kosztem*”. A serce wtórowało rozumowi: „*Nie sięgaj po najpiękniejszą gwiazdę na niebie, ponieważ przy Tobie ta gwiazda może stracić swój blask*”.

I tak oto przyszedł ostatni poranek, który mieli spędzić razem. Ponieważ Tomek był już spakowany wcześniej, więc przed śniadaniem wyjechał na dwór pożegnać się z piękną okolicą. Po śniadaniu przyjechała po niego tylko mama (ponieważ jego tata wyjechał do Niemiec do pracy). Poszła po bagaże, a Tomkowi zostało kilka minut aby pożegnać się z Agnieszka. Znow chciał jej wszystko wyznać, ale nadal słyszał w głębi swej duszy ten przeklęty głos „*Nie masz prawa...*”. Z krwawiącym sercem poprosił ją o jakiś osobisty drobiazg na pamiątkę, a Agnieszka zdjęła wtedy z włosów kolorową gumkę i wręczyła mu ze słowami: „*Jakie to romantyczne*”. Tomkowi gardło ścisnęło się ze wzruszenia, a łzy stanęły mu w oczach. Agnieszka dała mu swój adres i obiecali, że będą do siebie pisać. Mama Tomka przyszła z bagażami, włożyła je do samochodu, jeszcze ostatnie spojrzenie na Agnieszka i... odjechali. Tomek pomyślał sobie, że teraz już nie musi powstrzymywać łez, bo i tak nikt ich nie widzi i rozplakał się jak małe dziecko. Płakał tak aż do samego domu...

Po kilku dniach przyszły zamówione zdjęcia z kolonii. Gdy Tomek je rozpakował i zobaczył na nich Agnieszka, wtedy uzmysłowił sobie, że pokochał ją całym swym romantycznym serduszkami i nigdy nie wymaże jej z pamięci. I choć pisali do siebie listy, Agnieszka wkrótce wyjechała do pracy do Finlandii, a następnie do Włoch na wycieczkę. Lecz nie zapomniała o Tomku i przysyłała mu pocztówki ze swoich wojaży. Te pocztówki były dla niego jak jaskółki zwiastujące wiosnę i choć chwilowo ukończyły jego ból i tęsknotę.

Po powrocie do Polski Agnieszka podjęła studia w Poznaniu na Akademii Ekonomicznej. W pierwszej chwili Tomek się ucieszył, gdyż myślał, że Agnieszka będzie go mogła teraz odwiedzać, ucząc się tak blisko. Ale studia tak bardzo zabrały Agnieszce wolny czas, że nie mogła przyjechać nawet na jego urodziny.

Tomek wielokrotnie rozmyślał o Agnieszce i o swej miłości do niej, aż nie mogąc znieść już dłużej myśli o straconym szczęściu postanowił napisać do niej list, w którym wszystko jej opisał. Wysłał ten list i... cisza. Agnieszka przestała w ogóle do niego pisać. Myśląc, że być może stracił swoją ukochaną, popadł w straszną depresję, a przez jego głowę coraz częściej przechodziły myśli o tym, żeby zakończyć raz na zawsze swoje bezsensowne życie. I gdyby nie jego korespondencyjna przyjaciółka Aneta, to prawdopodobnie zrealizowałby swój plan. Jednakże Aneta przekonała go, że życie jest zbyt cenną rzeczą, aby tracić je w tak głupi sposób...

Nadszedł listopad. Z pobytu w Niemczech powrócił tata Tomka przywożąc mu jego wymarzony komputer. Z początku Tomek nie bardzo wiedział jak się nim posługiwać, lecz przy pomocy specjalistycznej prasy informatycznej oraz programów telewizyjnych jego wiedza dotycząca komputerów stale się powiększała, aż wreszcie mógł uznać się za komputerowego eksperta. I nareszcie mógł podjąć współpracę z panem Franciszkiem z Fundacji Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym (FPDN). Pan Franciszek przywoził mu różne książki lub rękopisy, które Tomek przepisywał na komputerze, a następnie zapisywał na dyskietkach i... czekał na nową dostawę. Przepisując książki i „szlifując” swoją wiedzę komputerową przeżył następne pół roku.

Latem 1996 roku Tomek znow wyjechał na wczasy pod patronatem FPDN. Tym razem los go zaniósł do Łobżenicy – miejscowości leżącej w połowie drogi między Piłą a Bydgoszczą, nieopodal Klasztornej Górki. Jak to zwykle miał szczęście – pogoda przez te dwa tygodnie była wspaniała. Ale mimo iż słońce grzało niesamowicie, to woda w jeziorze była zbyt zimna, aby się w nim kąpać. Na wczasach Tomkiem opiekował się student imieniem Michał. Mieszkali w czteroosobowym domku kempingowym, a ośrodek tym razem był bardziej dostosowany do osób na wózkach. Ponieważ Tomek z Michałem byli jednymi z najstarszych uczestników pobytu w Łobżenicy, więc nie byli traktowani jak inni wczasowicze. Byli tu tak jakby „nieoficjalnie”, tzn. nie mieli obowiązku uczestniczyć w życiu wczasowym. Poza obowiązkiem meldowania się w wypadku wyjścia z ośrodka mogli robić co chcieli.

Chociaż Michał opiekował się Tomkiem jak tylko mógł, to ten jednak nie mógł zapomnieć o tym, co przeżył rok wcześniej pod skrzydłami Agnieszki. Wiedział doskonale o tym, że Agnieszka była jedyna w

swoim rodzaju i nikt nie jest w stanie jej dorównać. Lecz z Michałem również czuł się dobrze. Mogli sobie rozmawiać dosłownie o wszystkim, nie mieli przed sobą żadnych tajemnic, codziennie chodzili na spacer do pobliskiego miasteczka i Tomek ocenił, że te wczasy nie są jednak takie złe. Chociaż pewna rzecz wciąż przypominała mu o poprzedniej kolonii: jego „nieoficjalna” wychowawczyni miała na imię... Agnieszka.

Po wakacjach Tomek wrócił do domu i swojej pracy przy komputerze. Często pisał całymi dniami i z każdą przepisaną książką szło mu to coraz łatwiej. Klawiaturę znał już na pamięć i choć nigdy nie mógł opanować sztuki bezwzrokowego pisania na komputerze, to jednak każdą pracę kończył coraz szybciej.

Na przepisywaniu książek i udoskonalaniu swojej wiedzy komputerowej upłynęło mu kolejne sześć miesięcy, gdy nagle los dał o sobie znać i gwałtownie zachwiał jego psychiką. W nocy z 30 listopada na 1 grudnia 1996 roku tata Tomka jadąc samochodem przez las wpadł w poślizg i uderzywszy w drzewo zmarł przed przybyciem pogotowia. Tomek bardzo przeżył jego śmierć. I jakby na złość swemu przekłętemu losowi otrzymał kartkę z życzeniami świątecznymi od Agnieszki. Ta kartka była jak promień słońca na pochmurnym niebie i przez chwilę rozświetliła jego smutne życie. Na krawędzi załamania nerwowego Tomek napisał do niej list, w którym poprosił ją, aby nie zostawiała go samego. Lecz i tym razem nie otrzymał odpowiedzi.

Powoli Tomek otrząsnął się z szoku wywołanego śmiercią ojca. Ponieważ jego Fundacja przestała organizować wyjazdy na wczasy, Tomek podejmuje współpracę ze... Sportowym Stowarzyszeniem Inwalidów „Start”. Przez następne dwa lata (1997–1998) właśnie ze „Startem” Tomek wyjeżdżał na wczasy. Nadal jednak pan Franciszek przywoził mu książki do przepisywania na komputerze...

Pierwsze spotkanie z pracownikami „Startu” było dla Tomka prawdziwym zaskoczeniem. Znajomy prezes (z którym był we Wągrowcu) już nie pracował na swoim stanowisku, zamiast niego prezesem został pan Romek, z którego córką Tomek był we Wągrowcu w jednej grupie.

Wczasy miały być w Mielnie nad morzem. Dwa tygodnie we wrześniu, lecz Tomek cieszył się z tak późnego terminu wyjazdu, gdyż letnie upały były dla niego bardzo męczące. Tym razem na miejsce jechał razem z innymi wczasowiczami autokarem. Kierownik turnusu, pan Irek, oraz rehabilitantka, pani Ina, już w autokarze stworzyli miłą atmosferę.

Chociaż podróż była uciążliwa (sześć godzin jazdy), przez całą drogę padał deszcz, to jednak Tomek był w dobrym humorze. Nie przypuszczał jednak, że czeka go jeszcze niespodzianka.

Gdy autokar zajechał na miejsce okazało się, że dla Tomka nie ma opiekuna i nikt nie powiadomił go o tym wcześniej. Pan Irek zadzwonił do mamy Tomka i zapytał ją co robić. Ponieważ pani Aleksandra remontowała akurat jego pokój, więc nie mogła sama przyjechać, aby zaopiekować się synem. Tomek podsunął jej myśl, aby przysłała mu jego przyjaciółkę Ewę. Ewa zgodziła się przyjechać, spakowała swoje rzeczy jak mogła najszybciej, trwały jeszcze drobne perturbacje ze „Startem” (dotyczące pobytu Ewy jako opiekunki Tomka) i dwa dni później wczesnym rankiem Ewa zameldowała się u Tomka w Mielnie.

Ten pobyt zapisał się w pamięci Tomka jako niezwykle. Ewa była jego ulubioną przyjaciółką mieszkającą kilkaset metrów od niego, przychodziła do niego codziennie. Spędzali ze sobą mnóstwo czasu, rozmawiali o swoich radościach i smutkach, słuchali muzyki, chodzili na wspólne spacer, Tomek uczył ją obsługi komputera, a teraz miał ją dla siebie 24 godziny na dobę. Po raz pierwszy od rozstania z Agnieszką poczuł się szczęśliwy. Ewa miała mnóstwo energii i dobrego humoru i właściwie nigdy nie nudzili się ze sobą. Czy to podczas wspólnych spacerów nad morzem, czy podczas posiłków, wypadów na miasto czy też wczasowych dyskotek – zawsze byli uśmiechnięci i weseli, młodość wprost z nich promieniowała.

Również osoby z ich turnusu były niesamowite. Gdy Tomek na pierwszym spotkaniu grupy zobaczył, że właściwie poza nim nie ma nikogo z młodzieży, westchnął tylko i pomyślał:

– Trafiłem na jakiś turnus emerytów, ale może da się tu wytrzymać i nie umrę z nudów.

Lecz jego ocena okazała się błędna. Chociaż wszystkie osoby poza nim były już w wieku „średnim”, to zachowywali się jak młodzież. Nie było żadnego postękiwania, narzekań i jęków, tylko każdy był radosny, uśmiechnięty, a na dyskotekach szaleli na parkiecie jak dwudziestolatkowie.

Tomek po raz pierwszy w swoim życiu był wtedy nad morzem. Gdy ujrzał ten ogromny akwen wodny, gdy nabrał w płuca orzeźwiającego morskiego powietrza i na swych ustach poczuł smak morskiej bryzy, to poczuł, iż pokochał Bałtyk i postanowił sobie, że zawsze będzie tu powracał.

Z zalem Tomek wracał do domu. Przyzwyczał się do morskiego klimatu, zaprzyjaźnił ze wszystkimi wczasowiczami, a tu już trzeba było się pożegnać. Ale takie są uroki wczasów: te nudne ciągną się jak guma do żucia, natomiast te wspaniałe mijają w mgnieniu oka. Po powrocie czekała go niespodzianka – jego pokój został wyremontowany i teraz wyglądał prześlicznie. Z wielką energią nabytą na wczasach Tomek rzucił się w wir pracy...

W połowie listopada Tomek przeżył kolejne nieszczęście. W wyniku zapalenia płuc zmarła jego babcia, z którą Tomek i jego mama mieszkali wspólnie w domu. Również i jej śmierć Tomek przeżył bardzo, gdyż przez całe życie babcia pod nieobecność rodziców opiekowała się Tomkiem jak tylko mogła. A teraz został sam z mamą.

Lecz ta samotność nie trwała długo. Z pobliskiego miasteczka do mieszkania po babci przeprowadził się jego brat z żoną i trójką dzieci. Ponieważ po śmierci Tomka taty cały ciężar prowadzenia upraw w działów specjalnych (rodzice Tomka uprawiali pieczarki) spadł na jego mamę, więc pani Aleksandra nie będąc w stanie jednocześnie zajmować się uprawami i opiekować Tomkiem, hodowlę pieczarek oddała starszemu synowi. Z początku Tomek cieszył się z przeprowadzki brata, lecz jeszcze niejednokrotnie miał on zatęsknić za ciszą i spokojem jakie panowały, gdy mieszkała z nimi babcia...

W marcu 1998 roku Tomek aby wyrwać się z domu wyjechał przed Wielkanocą na „pobyt klimatyczny” do miejsca swego urodzenia – do Śremu. Przez dwa tygodnie gościł w tamtejszej Klinice Reumatologicznej w charakterze „kuracjusza”. Był tam pod wspaniałą opieką ślicznych pielęgniarek, codziennie miał intensywną rehabilitację, zawiązał również wiele nowych znajomości. Ten pobyt bardzo odbudował jego nadwątlone siły psychofizyczne i Tomek mógł z nowym zapałem wrócić do pisania.

W maju ze smutkiem Tomek przyjął fakt, że jego przyjaciółka Ewa przeprowadza się do Poznania, ponieważ znalazła tam pracę. Wiedział doskonale, że już nigdy nie będzie w jego domu tyle radości, ile pojawiło się za sprawą Ewy.

A ponieważ latem Tomek więcej przebywał w domu niż na dworze (powodem była intensywna praca i okropne upały), więc następna generalna zmiana w jego życiu dokonała się dopiero we wrześniu 1998 roku, podczas kolejnego wyjazdu na wczasy. Jego opiekunką tym razem została... jego mama. Wyjazd był również nad morze, lecz teraz mieli spędzić dwa wrześniowe tygodnie w Międzywodziu.

Z wielką radością Tomek stwierdził, że większa część turnusu to byli jego ubiegłorocznymi znajomymi z Mielną. Przyjemnie było zobaczyć te same twarze po roku, usłyszeć co się zmieniło przez ten czas oraz mieć świadomość, że przez dwa tygodnie znowu wszyscy będą się znakomicie bawić. Również kierownictwo się nie zmieniło – nadal „dowodził” wszystkim pan Irek, a jego prawą ręką była pani Ina.

Podróż jak zwykle była trochę męcząca dla Tomka, pogoda też była nie za bardzo „wczasowa”, tak jakby Poznań opłakiwał ich wyjazd. Międzywodzie okazało się małą, uroczą miejscowością położoną nad samym morzem. Ośrodek był znakomicie urządzone (by nie powiedzieć, wręcz luksusowy), jedzenie pyszne, opieka znakomita, morze pod nosem – czego tu można więcej wymagać od życia?

Mając wielką ochotę na spacer brzegiem morza Tomek wybrał się na przechadzkę z kolegą z jego turnusu – Jarkiem. Akurat trwał odpływ i plaża była bardzo wygładzona przez fale. Tomek z Jarkiem podjechali aż do wody i wędrowali sobie samym brzegiem plaży. Naraz Tomek spostrzegł, że... zapada się w mokrym piasku. Z początku ugrzązł bardzo słabo, lecz z każdą chwilą pogrążał się coraz głębiej. Na szczęście podnóżki przy wózku oparły się na piasku i Tomek przestał się już zapadać. Jednakże tkwił już w piasku do połowy wózka. Jarek próbował go wyciągnąć, ale jego heroiczne wysiłki powodowały, że Tomek zapadał się jeszcze bardziej. Dopiero dwoje opalających się plażowiczów pospieszyło im z pomocą i wspólnie wyciągnęli wózek z piasku. Uczynili to w samą porę, gdyż właśnie zaczął się przypływ i wody w morzu z każdą minutą przybywało. Tomek przekonał się wtedy, że morze, choć takie piękne, potrafi również być niebezpieczne, nawet dla spacerowiczów.

Pewnego dnia opalając się przed ośrodkiem z panem Irkiem i panią Iną Tomek pochwalił się znajomością obsługi komputera i umiejętnością „literackiego sposobu wyrażania swoich myśli”. Wtedy pan Irek zapytał go:

– A może napisałbyś do gazety reportaż o naszym pobycie w Międzywodziu?

Tomek się zgodził i odtąd wszystkimi zmysłami chłonał życie turnusu, aby móc odpowiednio przelać swoje wrażenia na papier. Lecz nie poświęcał się całkowicie obserwowaniu życia wczasowiczów, ale sporo czasu spędzał również nad swoim ukochanym morzem. Mógł godzinami przesiadywać na plaży

wpatrując się w bezkresne wody, delikatny szum fal uspokajał go i łądował nową energią, a cudownie świeże powietrze odbudowywało jego siły.

Na swoje 25 urodziny zaprosił mamę do przydrożnej kawiarenki. Wspaniała pogoda, muzyka delikatnie sącząca się z głośników, doskonale jedzenie – wszystko to sprawiło, że urodziny przeżył tak wspaniale, jak nigdy dotąd.

W ostatnim dniu wczasów Tomek razem z Jarkiem wybrali się na spacer do sąsiedniego miasteczka – Dziwnowa. Tomek chciał tam zobaczyć latarnię morską oraz port rybacki. Chociaż do Dziwnowa było około 5 kilometrów, to droga nie zajęła im dużo czasu. Spytawszy się o drogę do portu, błyskawicznie znaleźli się na miejscu. Port nie zrobił na nich zbyt dobrego wrażenia. Ot, parę brudnych baraków, przy których znajdowało się kilka jeszcze brudniejszych kutrów rybackich. Do latarni nie mogli dojść, gdyż nie było tam dobrej drogi, aby móc jechać wózkiem.

Wracając powoli do Międzywodzia chłopcy zatrzymali się na początku Dziwnowa na zwodzonym moście. Właśnie most miał być podniesiony, a kilka kutrów czekało, aby przepłynąć pod nim. Ponieważ tylko część mostu była ruchoma, więc zatrzymali się przy samym brzegu, aby zobaczyć podnoszenie mostu. Później ruszyli dalej. W przydrożnej kawiarence zatrzymali się „na popas” (dzień był gorący, a im okropnie chciało się pić). Spotkali tam dwie dziewczyny – Barbarę i Grażynę. Przysiadły się one do ich stolika i zaczęły z nimi flirtować. Tomek miał nieodparte wrażenie, że jedną z nich skądś zna.

- Mam takie dziwne przeczucie, że już kiedyś się spotkaliśmy – rzekł do Grażyny – tylko nie potrafię sobie przypomnieć gdzie. Czy nie byłaś w ubiegłym roku w Mielnie?
- Niestety – odpowiedziała Grażyna Tomkowi – ja mieszkam tu w Dziwnowie i raczej to jest niemożliwe, abys mnie znał. Chociaż ty również wydajesz mi się znajomy, ale nie mogliśmy się spotkać w Mielnie, gdyż ja tam raczej nie bywam.

Zacząła mu wymieniać nadmorskie miejscowości, w których mogli się kiedyś spotkać, ale Tomek powiedział, że dopiero drugi raz jest nad morzem. Dziewczyny chciały spotkać się z nimi następnego dnia, ale było to niemożliwe, gdyż Tomek z Jarkiem wracali już do Poznania. Umówili się zatem, że spotkają się w przyszłym roku.

Po powrocie do domu Tomek z zapałem zabrał się do pisania reportażu o Międzywodziu. W ciągu dwóch dni przelał całe swoje „natchnienie literackie” na papier i stwierdziwszy, że artykuł wyszedł mu całkiem nieźle, postanowił wysłać go do poznańskiej gazety dla osób niepełnosprawnych „Filantrop Naszych Czasów”. Artykuł ukazał się w jednym z jesiennych numerów „Filantropa”.

Jednocześnie zaskoczyła Tomka wiadomość, że... reporterka lokalnego tygodnika chce zrobić o nim reportaż. Ponieważ nie miał nic przeciwko temu, więc wyraził zgodę na spotkanie. Kilka dni po jego przyjeździe z Międzywodzia pojawiła się u niego owa reporterka. Gdy weszła do jego pokoju, Tomek oniemiał.

– Witaj Tomku. Jestem Izabela.

Tomek dopiero po chwili odzyskał głos i odpowiedział na jej powitanie. Jednak wciąż myślał, że śni. Izabela była tak ładząco podobna do jego ukochanej Agnieszki, że Tomek nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Na początku był bardzo spięty, nie wiedział co ma powiedzieć, ale Izabela potrafiła tak rozładować tę nieco sztywną atmosferę, że po chwili rozmawiali jak starzy znajomi. Mama przyniosła im herbatę, zostawiła ich samych, a Tomek zaczął swoją historię:

– Moje smutne życie rozpoczęło się 25 lat temu...

Snuł swoją opowieść, a Izabela słuchała go uważnie, od czasu do czasu zadawała mu jakieś dodatkowe pytanie i cały czas pisała w notatniku.

Tomek opowiedział jej o całym swoim życiu, o problemach osób niepełnosprawnych związanych z bezsensowną biurokracją w urzędach oraz brakiem tolerancji w społeczeństwie, opowiedział jej również o Agnieszce i o tym, że Izabela jest bardzo do niej podobna.

- A powiedz mi Tomku, jeśli miałbyś do wyboru zdrowie i miłość, jaki byłby Twój wybór? – Izabela zaskoczyła go pytaniem.
- Ponieważ dla mnie najważniejsza jest miłość, więc nie wahałbym się ani chwili. – Tomek odparł zdecydowanie. – Przez całe moje życie byłem (i nadal jestem) samotny. Nigdy żadna dziewczyna nawet nie pomyślała o tym, że ja też potrzebuję miłości. Wiem, że moja choroba jest nieuleczalna, być może za kilka lub kilkanaście lat zwycięży w walce ze mną, ale właśnie moim największym marzeniem jest to, aby ktoś okazał mi choć odrobinę prawdziwej miłości. Nie litości, bo tego nie

potrzebuję, ale właśnie trochę tego cudownego uczucia, bez którego życie ludzkie byłoby bezsensowne.

Dwie godziny minęły w mgnieniu oka. Izabela powoli szykowała się do wyjścia i obiecała Tomkowi, że reportaż o nim ukaze się tydzień później. Słowa dotzymała...

Na przełomie października i listopada Tomek znalazłszy w ogólnopolskim czasopiśmie dla niepełnosprawnych „Integracja” ogłoszenie o poszukiwaniu przyjaciół postanowił odpisać na jedną z ofert. Lecz na próżno czekał na odpowiedź, w końcu troszkę zapracowany zapomniał całkowicie o tym ogłoszeniu.

W grudniu 1998 roku Tomek postanowił napisać kolejny list do Agnieszki i wysłać go wraz z życzeniami świątecznymi. Nie spodziewał się odzewu z jej strony, tym bardziej był zaskoczony, gdy po kilku dniach otrzymał odpowiedź na swój list. Ku swojemu zdziwieniu dowiedział się, że Agnieszka nie zapomniała o nim. I choć nie napisała dlaczego nie odpisywała wcześniej na jego listy, to jednak Tomek był niesamowicie uradowany tym, że w ogóle do niego napisała.

Już po Nowym Roku (na początku stycznia 1999 roku) Tomek poprosił Agnieszkę o zdjęcie. Otrzymał je w następnym liście i znów jego serce zabiło pełnią miłości. Wyglądała na nim tak ślicznie, że nie mógł oderwać od niej wzroku. Razem z nią na zdjęciu była jej siostrzenica oraz... półtoraroczny synek Oliver. Tomek pokochał również jego, dzieląc sprawiedliwie swoją miłość między Agnieszkę i Olivera.

Ale bojąc się, że wyznawszy jej miłość znów ją straci, Tomek zdecydował się ukrywać przed Agnieszką swoje uczucie. I choć wielokrotnie chciał jej opowiedzieć o tym, co się dzieje w jego serduszkach, strach przed jej utratą był silniejszy i Tomek wciąż milczał.

Ponieważ Agnieszka nadal studiowała, miała coraz mniej czasu na korespondencję (albowiem podjęła pracę i jednocześnie przygotowywała się powoli do egzaminów), więc Tomek postanowił wysłać do niej swoje listy bez względu na to, czy otrzyma odpowiedź, czy też nie. Codziennie prowadził dla Agnieszki taki „mini-pamiętnik”, opisywał jej w listach swoje codzienne życie, pisał jej o swoich radościach, smutkach, zwierzał się jej ze wszystkich swoich zmartwień, lecz o tym, że ją kocha ponad wszystko, nadal nie miał odwagi jej napisać.

W maju Tomek zaczął otrzymywać niespodziewanie listy z całej Polski. Nie wiedział skąd się one biorą, dopiero koleżanka poinformowała go, że w „Integracji” ukazał się fragment jego listu (w „Kąciku Przyjaciół”) i stąd ta korespondencja. Ponieważ Tomek miał coraz więcej wolnego czasu, więc nawiązał mnóstwo nowych przyjaźni.

Jego listy stały się powoli coraz bardziej „dojrzałe”, a w samym Tomku zakiełkowała myśl, aby zostać pisarzem. Lecz minie jeszcze kilka miesięcy zanim wcieli myśl w czyn...

Pierwszą nieśmiałą próbą piśmienniczą było uczestnictwo w konkursie literackim ogłoszonym przez „Tygodnik Zamojski”. Tematem konkursu było opisanie swojej największej miłości. Tomek od razu przyszło na myśl, aby napisać o Agnieszce. W ciągu dwóch zaledwie dni powstał krótki artykuł pt. „Historia pisana sercem”, który Tomek uznał za bardzo udany. Wysłał go na konkurs, lecz nie otrzymał żadnych wiadomości o wynikach tego konkursu. Nie zraził się tym, tylko zaczął myśleć o temacie na swoją pierwszą „poważną” opowieść.

Kolejny jego wyjazd na wczasy okazał się kompletną klapą. Wyjechał z mamą we wrześniu na dwa tygodnie do Ciechocinka (pod patronatem Wielkopolskiego Związku Inwalidów Narządu Ruchu, którego był członkiem), lecz nie mając tam z kim rozmawiać (osoby w jego wieku mógł policzyć na palcach jednej ręki – reszta to były osoby w wieku „bardzo zaawansowanym”) przez te dwa tygodnie strasznie się nudził. Na dodatek jego pobyt „uprzyjemniał” remont ośrodka, w którym Tomek był zakwaterowany z mamą. A hałas ekipy remontowej pracującej od wczesnych godzin rannych potrafi człowiekowi popsuć najpiękniejsze wczasy. Po powrocie do domu postanowił, że zgodnie ze swoim przyrzeczeniem będzie wyjeżdżał już tylko nad morze.

W październiku Tomek zdecydował się zrobić Agnieszce niespodziankę. Z informacji wziął numer telefonu do jej pracy i w 25 urodziny Agnieszki zadzwonił do niej z życzeniami. Agnieszka była bardzo zaskoczona tym, że o niej pamiętał. Jakże mógł o niej zapomnieć, skoro bez przerwy istniała w jego sercu!

Te rozmowy weszły im w nawyk i choć Tomek nie mógł tak często dzwonić do Agnieszki jakby chciał, to jednak kontaktowali się telefonicznie w miarę regularnie. I z każdą rozmową Tomek coraz bardziej tęsknił za Agnieszką i coraz więcej był w niej zakochany.

Powoli zaczęła się kończyć współpraca z panem Franciszkiem z Fundacji Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym z Poznania. Pan Franciszek miał coraz mniej czasu aby przyjechać do Tomka, książek do przepisywania dla niego już nie było, więc Tomek postanowił szukać pracy na własną rękę. Lecz mimo rozwieszonych ogłoszeń Tomek na razie nie znalazł żadnego zajęcia (nadal jedyną jego „pracą” było prowadzenie rozległej korespondencji).

Na początku grudnia Tomek zdobył się wreszcie na odwagę i napisał Agnieszce najpiękniejszy list, jaki kiedykolwiek do niej wysłał. Opisał jej wszystko co się dzieje w jego romantycznym serduszku, napisał o swojej tęsknocie za nią, przelał na papier całą miłość jaka w nim istniała...

Nadchodzi nowe tysiąclecie. Tomek przeżył miniony rok bardzo intensywnie i w nowe milenium wkroczy z nadzieją na lepsze jutro. Czy to jutro będzie rzeczywiście lepsze? Czy jego marzenie o karierze pisarza zrealizuje się? Czy jego choroba okaże się silniejsza od niego? Czy Agnieszka odpowie miłością na jego miłość, a Tomek znajdzie w przyszłości choć odrobinę szczęścia?

Tylko czas i jego ukochana Agnieszka znają odpowiedzi na te pytania.